ROK III LIPIEC 1931 NR. 7

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Nie damy morza!

ZJAZD GEOGRAFÓW W GDYNI.

Zjazd nauczycieli geografji zgromadził 24. V. 1931 w Gdyni przeszło 550 osób, począwszy od takich olbrzymów wiedzy i zasługi jak Romer a kończąc na wycieńczonym i zbiedzonym, lecz pełnym zapału, nauczycielu szkoły powszechnej. Doniosłe obrady odbywały się w imponującym gmachu szkoły handlowej morskiej. Obok danych, będących wynikiem mozolnych i długich badań, usłyszeliśmy tu słowa mocne i natchnione, które były godną odpowiedzią na zbójecką akcję geografów niemieckich, którzy jednocześnie obradowali w Gdańsku nad tem, w jaki sposób usprawiedliwić i umożliwić odebranie nam Pomorza. Prof. Pawłowski z Poznania zapoznał nas z ukształtowaniem powierzchni tej krainy, urabianej przez trzy kolejne lodowce, z których ostatni zniknął prawdopodobnie przed 8000 lat. Pozostały po nim pasma wzgórz morenowych, które utrudniały związanie morza z macierzą. Według tendencyjnych i bezwstydnych niemieckich twierdzeń — sama przyroda wskazuje w ten sposób, że nie jesteśmy narodem morskim, że nigdy nie dążyliśmy do morza i nie potrzebujemy go. Rozumowanie to jest absurdalnem. Wzgórza są niewysokie, nie wyższe od kilkudziesięciu metrów nad otoczeniem, dostępne dla naszej kawalerji już w XV w., o czem świadczy bitwa grunwaldzka. Z olbrzymiem jak zawsze zainteresowaniem słuchano natchnionego M. Limanowskiego, który jest prof. geologji Uniw. Wileńskiego, jednym z twórców teatru Reduta i wielbicielem św. Franciszka z Assyżu. Twierdzenia, wypowiedziane w grzmiącym potoku burzliwych słów o pradziejowym związku Polaków z morzem, poparł oryginalnym poglądem na orła białego, który jest ptakiem morskim, ponieważ ptactwo morskie jest białe. Znacznie mniej przekonywającem było zapewnienie o tem, że Akerman zbudował Kazimierz Wielki. Wszak zdarzyło się profesorowi całkiem niedawno twierdzić, że widuje bobrów w Niemnie koło Grodna. Natomiast na całkiem ścisły grunt sprawdzonych danych cyfrowych sprowadza nas prof. Jakubski z Poznania. Wykazuje on, że Bałtyk jest najbiedniejszym w życie morzem, że istnieje w nim zaledwie 60 gatunków ryb (w Morzu Czarnem 1000, w Adrjatyku samych jadalnych — 200), z tej liczby zaledwo 20 mają wartość w gospodarstwie, a tylko 6

handlowo-przemysłową. Okazy fauny, np. flądry, są przeważnie skarłowaciałe, lecz napotykane w znacznych ilościach. Pomimo to rybołóstwo, popierane przez państwo, przedstawia się b. skromnie. Uprawiane jest przez jakie 1000 rybaków, posiadających 116 motorowych kutrów. Reprezentują oni kapitał wartości 6 000.000 zł. Przeciętny zarobek dzienny rybaka nie przewyższa 6 zł. Gdyby nie turystyka, nie mógłby wyżyć, chociaż wydajność pracy rybackiej za czasów polskich znacznie się wzmogła.

Prof. Zierhoffer ze Lwowa wykazał, że pomimo 146 klm. wybrzeża morskiego (Norwegja ma przeszło 20.000 klm). Nasz handel zagraniczny w 52% odbywa się drogą morską. Na podstawie tego prof. Romer mógł słusznie i bardzo efektownie nazwać nas najbardziej morskim narodem świata. Prof. Bujak objaśniał nieudolność naszej polityki morskiej w ubiegłych wiekach pustką w skarbie królewskim. Gdańsk stale wykręcał się od swych zobowiązań, wypłacając koło 600.000 zł. odczepnego rocznie w w. XVII. Nawet nie zbudował pałacu dla króla i gmachu dla dworzan jego i powozów, do czego się zobowiązywali gdańszczanie niejednokrotnie. Tak pozwalaliśmy się lekceważyć. Dyrektor Bibl. Raczyńskich w Poznaniu dr. Wojtkowski zaznajomił nas z poglądami Niemców XIX w. na dostęp Polski do morza. Niemcy rozumieli, że Polacy są pogrzebanym pod popiołem wulkanem. Na początku wieku ub. nie brakło sympatyj ku nam. Arndt w pracy wydanej w r. 1803 uważa za całkiem naturalne i pożądane odbudowanie Polski z dostępem do morza, przytem uważa oddanie nam Prus Wsch. za zupełnie słuszne. We 40 lat potem w innej pracy, chociaż również uważa Polskę za potrzebną ze względu na niebezpieczeństwo dla Niemiec ze strony Rosji, jednak morze zostawia Niemcom. W świeżo wydanych czterotomowych pamiętnikach Bülow, b. kanclerz, nazywa odbudowę Polski największem nieszczęściem, jakie mogło spotkać Niemcy i przypomina z oburzeniem, jakiemi sympatjami Betmann - Hollweg darzył Polaków, projektując w r. 1906 odbudowę Polski wobec spodziewanego rozpadnięcia się Rosji. Bettmann Hollweg zamierzał pchnąć Polskę w kierunku wschodnim, by odciągnąć jej uwagę od morza. Bülow czerpie po rozbiciu Niemiec otuchę w naszych dziejach. Wśród niezwykłych wypadków ostatnich lat najbardziej najprawdopodobnym jest odbudowa Polski. Nierównie bardziej prawdopodobnym wydaje się mu powrót Niemców do dawnej potęgi.

Na posiedzeniu plenarnym w drugim dniu furiosus Wutke, instruktor z Warszawy, wzywał do zakładania pracowni geograficznych we wszystkich szkołach. Że szyby auli nie popękały pod ciśnieniem huraganowem jego głosu, przynosi to zaszczyt hutom krajowym. W sekcji szkół średnich bardzo przekonywająco mówiła p. Hłasko-Pawlicowa o konieczności metody porównawczej (tła światowego) przy nauce o Polsce. Rzeczywiście, trudno zrozumieć, dlaczego w podręcznikach zostały pominięte dane dotyczące innych krajów.

Wszak tylko w zestawieniu z innemi krajami Polska staje się dla nas zrozumiałą, możemy ocenić jej gospodarkę i kulturę. Dyrektor Cezak ze Zgierza przykuł na plenum powszechną uwagę danemi o polityce zbożowej Bartla, który, zaalarmowany niesłusznie przez urząd statystyczny o rzekomo grożącym nieurodzaju, zakupił ogromną ilość zboża zagranicznego po 20—30 zł za kwintal. Ponieważ urodzaj był dobry, wypadło to zboże sprzedawać po 10—12 zł. Na tej operacji państwo straciło 180—200 mil., czyli tyle, ile uzyska po zredukowaniu o 15% poborów urzędniczych w ciągu całego roku. By przyczynić się do postawienia ojczystej statystyki na wyższym poziomie, należy zaprawiać uczni klas wyższych do gromadzenia w znanych im miejscowościach wszelkich danych, należycie sprawdzanych, które będą odsyłane do urzędu statystycznego. W sekcji szkół ogólnokształcących toczyła się niezbyt przyjemna dyskusja między geografami a historykami, obie strony dowodziły upośledzenia swych przedmiotów i wypowiadały się za podziałem nauki o Polsce współczesnej między geografami (dział geografji) i historykami (kultura i ustrój). Broniłem roli historj w kl. VIII, dowodząc, że należy tam utworzyć wspólnem siłami geografów i historyków naukę o ludzkości współczesnej. W tym celu pierwsi powinni uwzględniać w większym stopniu antropogeografję i mieć 2 godziny, drudzy muszą budować dzieje po r. 1848 z jaknajwiększem uwzględnieniem rozwoju gospodarczego, uwydatnionego na materjale statystycznym w ciągu 4 g. tygodniowo.

P. Żukowski

Starzy i młodzi w ziemi kieleckiej podczas wojny światowej.

W chwili wybuchu wojny światowej przebywałem na wakacjach w rodzinnem miasteczku Daleszycach, leżącem w borach świętokrzyskich, niedaleko Kielc.

Widziałem, jaką trwogą czytała ludność tego miasteczka obwieszczenia o mobilizacji, jak pędzono, łapano i przemocą wcielano rezerwistów do wojska rosyjskiego. Znałem wśród tamtejszego ludu i takich, którzy z radością powitali wiadomość o wybuchu wojny, lecz tych było niewielu. W dniu wyjazdu rezerwistów od samego rana na ulicach i na rynku zapanował niezwykły ruch, ludzie chodzili smutni, zapłakani, każdy bowiem miał kogoś, z kim chciał się pożegnać może już ostatni raz...

Pamiętam, jak ówczesny komendant posterunku żandarmerji krzyczał na rezerwistów: „Skoreje, skoreje, saditsia!“ „Baby do domu“ wołał na matki i żony wójt. Wielu rezerwistów z objęć swych rodzin przemocą wyrrywali żołdacy i pchali na furmanki. Gromadnie żegnała i odprowadzała ludność Dale-

szyc odjeżdżających na wojnę rodaków. Ze łzami w oczach wracano do domów po pożegnaniu się z rezerwistami. Pod wieczór tego samego dnia ucichły płacze i żale, zapanowała nieopisana radość, gdy żegnani rano rezerwiści prawie wszyscy wrócili z radosną nowiną, że wojsko polskie maszeruje na Kielce.

Z kilku kolegami pobiegłem do starego weterana z 63 roku — Cedry, powiedzieć mu, że Słomniki, Miechów, Jędrzejów są już w posiadaniu Strzelców. Stary bojownik z pod Bodzentyna, Osttrowca, Staszowa, Małogoszczy, lasów świętokrzyskich i samsonowskich, więzień Sybiru, płakał i całował nas z radości za tę wiadomość. Bogu dziękował, że pozwolł mu dożyć chwili, w której będzie mógł ujrzeć wojsko polskie. Lubił on nas, a my uczniowie kochaliśmy go za to, że uczył nas historji Polski, opowiadał o powstaniu styczniowem, o Langiewiczu, Rębajle, o Bosaku i Mierosławskim, o wielu innych, wreszcie o upadku powstania i o katorgach Sybiru. Żegnając się z nami, prosił, aby następnego dnia rano przyjść do niego.

Podczas, gdy obywatele miasteczka naradzali się, czytali odezwy i gazety, urzędnicy — rosjanie z pośpiechem pakowali swoje rzeczy i w nocy uciekli do pociągu kieleckiego; pozostało tylko paru żandarmów. Następnego dnia Cedro, zebrawszy kilku uczniów wyszedł na rynek, by go oczyścić ze śmieci i przemówił do nas w te słowa: „Dzieci kochane, oczyśćmy rynek, aby nie śmierdział dziegciem. Po raz pierwszy od 50 lat wojsko polskiebędzie tu odpoczywało, trzeba je przyjąć uroczyście i powitać godnie. Przechodzący żandarm weteranowi i gromadzącym się ludziom nakazał rozejść się. Cedro odparł: „Uciekaj precz, Mochu, nasi niedługo tu przyjdą, już są niedaleko, jeno ich patrzeć". Bojażliwszych wypędził żandarm z rynku, weterana jednak usunąć nie zdołał.

Co dnia wychodziliśmy za miasto na spotkanie strzelców, ale dopiero 13 sierpnia w południe wkroczył do Daleszyc oddział długo oczekiwanych gości. Na widok wojska polskiego wzruszenie i radość były ogromne. Pierwszy witał strzelców Cedro. Ze łzami w oczach całował prawie każdego żołnierza. Klęknął na ziemi, wzniósł ku niebu złożone ręce i łkając wołał: „Dzięki Ci, Boże, że pozwoliłeś mi dożyć tej chwili, że mogę na własne oczy oglądać wojsko nasze i te srebrne orły na szarych czapkach." Wydobył z kieszeni swojego orzełka polskiego, ucałował go i dalej mówił: „Pięćdziesiąt lat ukrywałem przed okiem Moskali tę drogą mi pamiątkę z powstania, dzisiaj mogę nosić ją ze spokojem. Chłopcy — mówił do żołnierzy — tu na tym rynku mnie złapali, bili nahajami, tum krew przelał, panowie, niech was Bóg, niech was Matka Najświętsza... Otom dożył chwili, pomścijcie nasze krzywdy." Wziął do rąk karabin, stanął na baczność, sprezentował broń przed oddziałem młodego wojska, jak gdyby próbował „czy dłoń jeszcze nie zawiedzie broni". Ludzie, wzruszeni do głębi, patrzyli to na starego weterana, to na mołdziutkich strzelców.

Częstowano żołnierzy, czem kto mógł: owocami, mlekiem, chlebem; co kto miał w domu, to przyniósł dla zmęczonych długim marszem żołnierzyków. Oni opowiadali, jak Mochy uciekają na widok strzelców, jak oddziały wojska polskiego rosną po drodze, jak rezerwiści z pow. Miechowskiego, Jędrzejowskiego tłumnie wstępują do strzelców, jak zdobywano Kielce, wreszcie obiecywali sobie ci nasi żołnierze wkrótce zająć Warszawę.

Po miłym wypoczynku dowódca oddziału przemówił do ludu mniej więcej w te słowa: „Obywatele! wojna, która wybuchła, którą my pierwsi rozpoczęliśmy z Moskalami, była oddawna przedmiotem marzeń najgoręcej miłujących Ojczyznę Polaków. O taką wojnę kazał nam się modlić wielki poeta Mickiewicz, bo wiedział dobrze, że Polska tylko przez krew i rany, przez walkę i ofiarę zbawioną być może. My „Strzelcy“, to ostatnie ogniwo w długim łańcuchu tych najlepszych synów, którzy w imię wolności krew swoją lali, to nić, wiążąca czyn Polski współczesnej z czynami ojców, dziadów i pradziadów.

Chcemy głosem swoim niezagłuszonym, swoją krwią, stwierdzić przed światem nigdy nieprzedawnione prawa Ojczyzny naszej do wolności. — Chcemy stwierdzić, że mimo setek lat ucisku, mimo niewoli i klęsk, mimo kajdan i kopań Sybiru „jeszcze Polska nie zginęła“. — Dobrowolnie, nieprzymuszeni przez nikogo idziemy w bój przeciw największym tyranom, przeciw najeźdcy moskiewskiemu, który $^{2}/_{3}$ Ojczyzny naszej zabrał, ujarzmił, nękał w nieludzki sposób, stajemy do walki o wyswobodzenie Królestwa Polskiego z kajdan, do walki o wolną Polskę.

Idziemy w bój nie w imię cudzych interesów, ale pod hasłem:

Wolna, bogata i szczęśliwa
Polska dla Polaków.“

W przemówieniu zachęcał, by jak najliczniej zapisywano się do wojska, bo każdy rozumnie — mówił — że Polski nikt obcy nam nie wywalczy, że naszej własności nikt obcy tak nie dopilnuje, jak własna siła, jak my sami. Że tym, co spokojnie znoszą niewolę, nikt nie poczuwa się do obowiązku pomagać — wreszcie ogłosił wymarsz z Daleszyc za pół godziny. Trąbka zagrała na zbiórkę, padła komenda: „Do broni“, nastąpiły pożegnania, żołnierze wpisywali się do pamiętników miejscowym panienkom, te zaś darzyły strzelców kwiatami, starsze panie ofiarowały im szkaplerze i medaliki, błogosławiając przytem: „Niech was Bóg ma w swojej opiece, niech Matka Boska chroni od nieszczęść“.

Pamiętam, jak jedna staruszka uklękła pod figurą Matki Boskiej i z rozrzewnieniem mówiła: „Matko Najświętsza, toż to chyba śpiące wojsko Królowej Jadwigi do nas przybyło, oni po naszemu mówią, medaliki na piersiach,

a różańce w kieszeniach noszą. Matko Boska Daleszycka, łaskami słynąca, broń ich od wszelkiego złego. Od nagłej, a niespodziewanej śmierci zachowaj ich Panie!“

Zanim skończyła, wojsko już odmaszerowało, a z niem kilkunastu nowych, młodych bojowników o niepodległość Polski — rodaków Daleszyc.

Wspomnę tu o trzech, najmłodszych, najbiedniejszych, nieoświeconych, prawie analfabetach, zaniedbanych i opuszczonych nawet przez rodzinę, wspomnę dla przykładu, jak wielką rolę w wychowaniu człowieka — obywatela — żołnierza odgrywa dobra organizacja, dobry wpływ, dobry przykład — wojsko. Jak niekiedy z prostego człowieka od cepów czy pługa staje się rozumny obywatel, dobry żołnierz, a nawet dowódca, który w krytycznym momencie władzę obejmie, uchroni wielu ludzi od zguby i zwyciężać wrogów potrafi. Takimi byli trzej biedni chłopcy, o których mówię.

Jeden z nich w kilka miesięcy po wstąpieniu do Legjonów tak mi pisał: „Choć nas jest mało, jednak Mochy boją się nas bardziej niż Niemców i Austrjaków. My bijemy się zawsze dzielnie, a gdy komendant jest z nami, to odwagi, pragnień zwycięstwa, miłości dla Polski i dla Niego przybywa coraz więcej“.

Drugi, gdy przyjechał na urlop, przyszedł opowiedzieć mi, co się dzieje w Legjonach. Opowiadał o wrogim nastroju żołnierzy polskich do Niemców, o częstych zatargach, a nawet krwawych porachunkach z nimi. Gdy odprowadzałem go, przedstawiał mi się młody żołnierzyk jeszcze różne ciekawe sceny z życia Legjonów i nie zauważył przechodzącego obok oficera Niemca. Niemiec zatrzymał mojego towarzysza, pytając go o coś, wymyślał mu chwilę, a odchodząc rzekł: „W każdym legjoniście widać polskie chamstwo.“ Nie mógł znieść takiej zniewagi polski żołnierz i w odpowiedzi spoliczkował Niemca. Zanim zorjentowałem się, co zaszło, legjonista smagał špicrutą leżącego już na ziemi oficera. Szybko wbiegliśmy do bramy najbliższego domu, a stąd pędem wydostaliśmy się na inną ulicę i niespostrzeżeni przyszliśmy do pokoju mojego kolegi. Tu z uśmiechem powiedział: „Miałem sposobność nietylko opowiedzieć, przedstawić ci, ale i pokazać, jak w rzeczywistości wygląda nasza przyjaźń z Niemcami.“

Trzeci ze wspomnianej trójki, najbiedniejszy, ze służby wstąpił do wojska i tak się w Legjonach wyrobił, nauczył się czytać i pisać, zdobył tyle wiadomości, że gdy po odmówieniu przysięgi Niemcom wrócił ze swoimi kolegami do Daleszyc, zorganizował klka kół P. O. W. i sam stanął na czele tej organizacji w rodzinnych stronach. Ci trzej wymienieni żołnierze, po opuszczeniu Legjonów, „w cywilu“ prowadzili ćwiczenia w P.O.W., dużo wiedzieli i uczyli swoich podwładnych o Polsce, o Jej wodzach w przeszłości, o Jej tyranach, o zmagających się potęgach w wojnie światowej i z głęboką wiarą przekonywali wszystkich, że Polska już niezadługo będzie wolna.

Ostatni z wymienionych tak potrafił ująć, przekonać członków P. O. W. w swoim oddziale o ważności i wielkości sprawy, o doniosłem znaczeniu ćwiczeń, że gdy pewnej nocy oznajmił, że Niemcy złapanych peowiaków wieszają, lub strzelają, gdy zaklinał, aby niepewni siebie raczej wystąpili z szeregu i wypisali się z P. O. W. niż złapani mieliby wydać kogoś z członków — nie wystąpił, nie wypisał się ani jeden z oddziału. Ten z przed paru laty analfabeta, służący do bydła i koni, po przebyciu paru lat w Legjonach ćwiczył i dowodził w P. O. W. synami swoich panów.

A gdy w pamiętnym roku 1918 okowy Polski pękać zaczęły i trony mocarzy runęły bezpowrotnie, gdy pierwszego listopada P. O. W. otrzymała rozkaz rozbrojenia Austrjaków w Daleszycach i okolicy, wszyscy wyżej wymienieni komendę nad nami a potem władzę nad miastem objęli. Z pośród starszych obywateli jeden tylko był z nami. I nim znękani rządami okupantów obywatele miasteczka przebudzili się 2 listopada rano, sztandar Polski nad miastem powiewał, a ci, którzy wczoraj katowali bezbronną ludność, znaleźli się zamknięci w areszcie.

Niektórzy mieszkańcy oczom swoim wierzyć nie chcieli, patrząc na uwijających się po ulicach wczoraj cywilów, a dziś w mundury, z polskim orzełkiem na czapkach, przybranych rodaków, byłych legjonistów i peowiaków.

Wielu nie mogło zrozumieć, że z Austrjakami tak prędko skończono. Słyszałem, jak jeden z obywateli mówił do swych sąsiadów: „Nam tyle krzywd te głodomory, dziady austrjackie wyrządzili, myśmy byli bezradni, a ci młodzi w ciągu jednej nocy ze wszystkimi zrobili porządek.“ Oby tylko panowanie Austrjaków skończyło się bezpowrotnie“ — powtarzali sobie ludzie.

W kilka dni później legjoniści i peowiacy, wyśmiewani dotąd przez jednostki z powodu „wałęsania się po polach i lasach nocami“ odbierali od urzędników przysięgę na wierność Polsce już wolnej i niepodległej. Oddawszy rządy nad miastem urzędnikom — poszli na front.

Jak w chwili powstania Polski członkowie organizacji, szczególnie o charakterze wojskowym, pierwsi wstępowali do wojska, tak i w dniach grozy, w roku 1920 znaleźli się w szeregach obrońców ojczyzny ci ludzie, którzy bezpośrednio lub pośrednio brali udział w pracy organizacyjnej. Tak n. p. w Daleszycach wstąpili do wojska w 1918 i na front w 1920 r. wyłącznie byli legjoniści, peowiacy i skauci, podczas, gdy dziesiątki innych zachowały się biernie. Zaprawieni w służbie, w bojach legjonowych lub na ćwiczeniach i w pracy P. O. W., czy w skautach, chłopcy, nieraz analfabeci, byli często na froncie bohaterami.

Gdy w 1920 r. pewnego poranku na osłaniający odwrót naszych wojsk oddział, w którym znajdował się jako sierżant jeden z wyżej wymienionych

byłych legjonistów, ztyłu najechała kawalerja Budiennego, gdy prawie wszyscy stanęli bezradni, jeden wymieniony sierżant nie stracił przytomności, panowania nad ludźmi i bronią. On jeden pamiętał o zasadzie, że w podobnym momencie tylko walka da zwycięstwo lub ratunek, uchroni wszystkich od śmierci, natomiast każda ucieczka przyniesie zagładę, jak mówi regulamin służby polowej. Wstał: „Na moją komendę, kompanja! — krzyknął. Drugi, czwarty pluton! Na linję! Pierwszy, trzeci pluton wtył zwrot! Celownik zwykły! Salwa! Cel — Pal!“ W jednej chwili, tuż przed naszymi żołnierzami legło kilkudziesięciu bolszewików, inni nawrócili wtył, a rażone kulami i spłoszone konie unosiły galopem swych czerwonych jeźdźców, ściganych spokojnym ogniem karabinowym. Nasi pozostali na stanowisku, ściskali i wznosili wgórę sierżanta, a dowództwo nagrodziło krzyżem walecznych najmłodszego z uczniów weterana Cedry, który niestrudzenie do końca swego życia rozpalał miłość u młodych do Polski, a nienawiść do wrogów, uczył, jak trzeba walczyć o wolność.

Uświadamianie przez Cedrę młodych chłopców, że są i jakimi winni być Polakami, opowiadanie o Polsce, o dniach jej chwały, jej bohaterach, wycieczki do obozowisk powstańców z 63 r. pod przewodem Cedry, pokazywanie nam w ukryciu z głęboką czcią orzełka polskiego i wstążki czerwono-białej, drgiej pamiątki z powstania, wreszcie zbieranie, gromadzenie młodzieży w swojem mieszkaniu w dniach zimowych pod pretekstem pokazania szopki, a w rzeczywistości celem tajnego nauczenia historji Polski, oto cicha praca powstańca, dająca w swym rezultacie kilkunastu żołnierzy, którzy nie zrobili wstydu swemu nauczycielowi, weteranowi, niestety już ś. p. Cedrze.

Jan Sulczyński.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera-Polaka

o epoce Mikołaja I. *)

Gdy zostaliśmy sami, Biezobrazow oświadczył mi, że ja jako człowiek sympatyczny i inteligentny powinienem zrozumieć, że stosunki przyjacielskie, łączące mnie z rodziną Mańkowych, muszą się skończyć małżeństwem. Gdy próbowałem tłómaczyć, że miałem jak najlepsze zamiary, które skończyły się niczem z winy p. Mańkowa, Biezobrazow zmienionym głosem zaczął mnie zapewniać, że honor jego siostrzenicy został narażony na szwank, że stała się ona ofiarą plotek i ja muszę wymierzyć mu satysfakcję czyli pojedynkować się z nim. Słysząc to, wybuchnąłem: nagadałem mu inpertynencyj. On też zawrzał i unieśliśmy się ogromnie. Wkrótce jednak ochłonął, zaczął zapewniać o swem przywiązaniu ku mnie i oświadczył, że pragnąc szczęścia dla nas, dodaje do posagu, ofiarowanego przez ojca, własnych 15.000 rb. Padliśmy sobie w objęcia, gdyż zostałem rozczulony zachowaniem się jego względem mnie, którego nazywał ukochanym siostrzeńcem. Wnet zjawiła się p. Mańkowa z córkami i udzieliła nam błogosławieństwa obrazem, zdjętym ze ściany. Na to widowisko przy-

*) Patrz N. 6.

była cała służba, wszyscy cieszyli się i winszowali. Nie było końca zachwytom, okrzykom radości, objęciom i pocałunkom. Ponieważ wkrótce miałem odjechać, omówiłem szczegółowo z p. Mańkową cały program: kiedy mam przyjechać, kiedy ma być wesele, ile sług pańszczyźnianych otrzymamy i t. d. Po długim obiedzie z szampanem zauważyłem, że narzeczona moja posmutniała. Gnębiła ją myśl o zbliżającej się rozłące z rodzicami. „Kochany mój, wkrótce wypadnie mi ruszyć z tobą" — rzekła z płaczem. Przycisnąłem ją do piersi i również zapłakałem. Siostra narzeczonej Liza szlochała tak, że niczem pocieszyć jej nie było można. Rozłąkę oblaliśmy rzęsistemi łzami. Musiałem wnet zapanować nad sobą, gdyż żołnierze byli porządnie podchmieleni i w obawie przed rozruchami należało trzymać ich krótko. Szliśmy przez obszary, nawiedzone posuchą w ciągu 2 lat; ludność cierpiała głód. Myśl moja pracowała nad tem, co zaszło, układałem list do p. Mańkowa, prosząc go oficjalnie o rękę córki. Z najbliższego miasta wyprawiłem ten list. Wkrótce dowiedziałem się, że mam się udać do gub. Połtawskiej, gdzie rozlokowano mój pułk. Tymczasem jednak mieszkałem nadal w Bogorodzku, do którego przybyło mnóstwo oficerów z najrozmaitszych pułków. Byli oni utrapieniem ludności i naczelnika załogi, gdyż stale urządzali orgje, uprawiali hazardowną grę w karty i wywoływali głośne skandale. Moja pozycja była ogromnie utrudniona. Według ówczesnych pojęć o koleżeństwie należało brać udział we wszystkich tych głupstwach i bezeceństwach, inaczej mogłem stać przedmiotem nienawiści i szykan. Na szczęście wyskoczył na mym policzku wrzód. Owiązany olbrzymią chustą, udawałem bardzo cierpiącego; dano mi spokój.

Wkrótce nadszedł rozkaz carski, przenoszący mnie do Bielewskiego pułku. Armja czynna składała się wówczas z 4 korpusów i była rozlokowana przy zachodniej granicy. Mój nowy pułk należał do 6 korpusu, w którym usilnie ćwiczono rekrutów. Warunki nowej pracy były nad wyraz przykre. Dawniej zawsze zajmowałem stanowisko samodzielne, obecnie miałem złośliwego i niesłychanie głupiego szefa, który prześladował mnie za to, że miałem przyzwoite umeblowanie i unikałem pijatyk i orgij. Zachowywałem się z godnością, lecz musiałem wykonywać najgłupsze kapryśne zarządzenia tego idjoty, wytrzymywać jego przyczepki i szykany.

Osłodą tych utrapień były listy od Mańkowych. Ojciec narzeczonej zapewniał o swej życzliwości. Jesienią dostałem nominację do bataljonu karabinerów w m. Epifani. Szefem mym był zacny kapitan Borodkin.

W ówczesnej Rosji rząd ciągnął zyski z wódki za pośrednictwem dzierżawców szynków (otkupszczyki), którzy wpłacali ryczałtem do skarbu wyznaczoną kwotę i sprzedawali trunki dowolnej jakości i dowolnej ilości. W Epifani tym „otkupszczykiem" był dość inteligentny jegomość wesoły, bardzo zamożny i posiadający miłą żonę. Ze względu na dobro swego przedsiębiorstwa prowadził otwarty dom; dwa razy tygodniowo urządzał bale. Ponieważ kapitan i ja byliśmy jedynymi przedstawicielami armji w tem miasteczku, ceniono nas niezmiernie, podejmowano bajecznie. Całe dnie spędzaliśmy w gościnnym domu, który od rana do nocy był napełniony gośćmi. Działo się to zimą 1842-1843 r.

Biezobrazow nic mi nie pisał. Domyślałem się, że ten młody pan tylko pod wpływem szampana zdobył się na wspaniałomyślne oświadczenie. Korespondencja z Mańkowymi ustała. Rady wuja Rafała coraz częściej sobie przypominałem. W końcu myśl o małżeństwie całkiem się ulotniła z mej duszy. Dowiedziałem się zczasem, że wkrótce po rozłące ze mną narzeczona moja wyszła za bogatego ziemianina, szczęśliwą z nim nie była i owdowiała. Dotychczas składam Najwyższemu słowa wdzięczności za niezasłużone miłosierdzie Jego. Bóg jedyny wie, coby się stało ze mną, gdybym się ożenił z dość widocznie lekkomyślną panną Mańkowną. Modlitwy mego dobroczyńcy, wuja Rafała, uratowały mię od wielu nieszczęść. Kochane dziatki moje, nie zapominajcie modlić się za duszę tego świętego człowieka.

W końcu r. 1842 naczelnikiem naszego korpusu został mianowany generał Timofiejew, posiadający opinję niezmiernie srogiego i wymagającego. Miał przybyć do nas w lipcu 1843. By przygotować nas do tej inspekcji strasznego generała, przybyły z Moskwy władze, wśród nich pułkownik Aleksandrow, elegancki gwardzista, zuch i amator hucznych zabaw. Ci panowie zaczęli nas dręczyć ćwiczeniami, wszczęli okropny harmider, lecz ze mnie byli zadowoleni. Żołnierze moi byli dobrze wyćwiczeni, głos miałem donośny, wszelkie rozkazy spełniano szybko i sprawnie. Te i tym podobne głupstewka podobały się przybyszom, wskazywali moim kolegom na mnie jako na wzór. Nareszcie nadszedł dzień sądu ostatecznego. Timofiejew miał tylko jedno oko, lecz przenikliwe niezmiernie. W dniu rewji pogoda była zabójcza, zimny wiatr i deszcz działały tak, że żołnierze skostnieli. Zawzięty starzec nie zgodził się na wyznaczenie innego dnia. Wiatr często uniemożliwiał żołnierzom słyszenie rozkazów, zziębnięte ich ręce ociężale władały bronią. Generał wściekał się i beształ. Na domiar złego naczelnik bataljonu, w którym był sztandar, pomimo doświadczenia tak stchórzył, że poplątał słowa komendy, skutkiem czego żołnierze zamienili się w kupę owiec. Spowodowało to pogrom ostateczny. Generał ryczał i srożył się jak dzikie zwierzę, niefortunnego naczelnika skazał na areszt przy odwachu; wszyscy oficerowie rzucili się do zmięszanych żołnierzy, by doprowadzić ich do porządku. Wreszcie, gdy wszystko się jako tako naprawił, i w ponurem milczeniu i przerażeniu czekaliśmy, co będzie dalej, generał wrzasnął. „Dajcie mi oficera, który może prowadzić sztandarowy bataljon.“ Na to pułkownik głośno odrzekł: „Podporucznik S., proszę zająć tamto miejsce.“ Stanąłem naprzeciw Timofiejewa, przygotowany na wszystko. Lęku nie czułem, a zaprawiony do służby byłem należycie, zresztą zapewne i generał już się zmęczył, a wiatr ucichł i wejrzało słońce. Został zadowolony z mego sposobu prowadzenia żołnierzy, chwalił ich za głośne krzyki „chętnie będziemy się starali.“ Podczas marszu ceremonjalnego nasz tyran miał twarz całkiem rozjaśnioną i chwalił mnie. Cała ta komedja wzmocniła moje położenie w pułku.

Po ukończeniu inspekcji udobruchany generał sgromadził oficerów i zachwalał mnie wobec nich. Zapytał o me nazwisko i wysłuchał pochlebne opinje o mnie między przełożonych. Zaznaczył z naciskiem, że on nigdy się nie myli, poznaje ludzi odrazu i rozkazuje dać mi bataljon; należy, dodał, awansować ludzi młodych, gdyż pod ich wpływem i starsi zaczną pracować energiczniej. Gdy generał odjechał, moi przełożeni robili słodkie pyzie i osypali mnie pochlebstwami, zkaljąc przezacnego kapitana, który siedział w areszcie. Wkrótce pułkownik zaprosił mnie na obiad i oświadczył, że jest mi wdzięcznym za wyjątkowo dzielne sprawowanie się i oddaje mi dziś władzę nad bataljonem według zlecenia generała. W tym pułku, ciesząc się przyjaźnią pułkownika, pomyślnie i przyjemnie pracując, doczekałem się rangi majora.

Obrazki z dziejów kultury niemieckiej XVIII w.*)

Schiller uważał swą służbę za udrękę. Gniotła go twarda dyscyplina wojskowa, odrywano go ciągle od pracy nad utworami. Tonął w długach z powodu nędznego wynagrodzenia i wydatków na druk swych „Zbójców“. W r. 1782 wystawiono w Mannheimie tę sztukę. Zachwyty publiczności nie miały granic. Uszczęśliwiony poeta zaczął marzyć o karjerze teatralnej. Gdy się dowiedział, że sztuka jego będzie grana po raz drugi, nie mógł wytrzymać i w ubraniu cywilnem bez urlopu udał się do Mannheimu. Doniesiono o tem hrabiemu. I oto przerażony poeta stanął przed tyranem, wytężony jak drąg, zalany rumieńcem. „Wiem o wszystkiem. Byłeś w Mannheimie!“ — „Błagam Jego Najjaśniejszą Mość o przebaczenie. Wyznaję swą winę Jakiś wewnętrzny głos gnał mię do Mannheimu“. „Co? Wewnętrzny głos zmuszał

*) Patrz N. 6.

cię do deptania mych rozporządzeń? Ty psie paskudny! Ja cię nauczę posłuszeństwa. Odąd nie wolno ci bawić się wierszoróbstwem. Opuszczać Sztuttgart! Nie będziesz drukował nic oprócz rozpraw lekarskich“. — Schiller uczynił gest błagalny i wybełkotał: „Najjaśniejszy Panie, miej litość nademną! Przecie z musu zostałem medykiem“... — „Nigdy! A jeśli nie usłuchasz, powędrujesz do więzienia. Chcesz naśladować Schubarta? Co? Narazie wyznaczam ci 14 dni aresztu, byś mógł dobrze się namyślić“.

Oczy tyrana błyszczały gniewem. Schiller poczuł przypływ dumy, wyprostował się, zmierzył się wzrokiem ze swym dręczycielem. Rozwścieczony tą postawą, władca wrzasnął: „Pod karą więzienia nie pisać mi więcej żadnych komedyj. Wynoś się!“. Poeta powlókł się na odwach, oddał pułkownikowi swą szablę i rozpoczął odsiadywanie aresztu. Tu w ciasnej wilgotnej celi w buntowniczym duchu jego rodzi się „Fiesko“, tragedja pełna nienawiści do tyranów, pełna umiłowania wolności.

Po odbyciu kary znów rozpoczęło się męczące, nudne i trudne życie. Pewnego wieczoru wrócił do domu bardzo zmęczony. Pokój nie był sprzątnięty. Ubranie wisiało na gwoździach, butelki i talerze stały na podłodze w kącie obok kupy kartofli; zwał rękopisów okrywał część podłogi. Poeta usiadł przy stole na jedynym krześle i oparł o ręce znużoną głowę, którą dręczyła wciąż ta sama myśl, poddana przez Schubarta. „Ratować się przed despotą! Uciekać“. Był blady i schorzały. Do pracy dziś nie był zdolny. Zapukano. Streicher, muzykant, przyjaciel Fryca i jął namawiać go do ucieczki. Nadarzyła się sposobność. Sam on wyjeżdżał do Hamburga na studja u Emanuela Bacha i proponował na swój koszt dowieźć przyjaciela do Mannheimu. Ze łzami radości i wzruszenia poeta obejmował przyjaciela. Postanowiono umknąć podczas uroczystości ku czci rosyjskiej rodziny carskiej, które miały się odbyć z wielką pompą. Matka została wtajemniczoną, lecz ojcu nie powiedział nic, by nie narazić go na niecną zemstę tyrana.

— — — — — — — — — — — — — —

Do bramy miejskiej o dziesiątej wieczorem zbliżał się powóz, naładowany dwoma dużemi kuframi i klawikordami Steichera. W głębi wehikułu siedzieli skurczeni podróżnicy. Chociaż Schiller wiedział, że przy bramie dyżuruje jego przyjaciel lejtenant Scharffenstein, jednak serce rozsadzało mu piersi. Co, jeśli go kto inny pozna i aresztuje. Wiedział, co go wówczas czekało. „Stój! Kto tam?“ zawołała warta. Schiller nasunął daszek czapki na nos i zamarł w straszliwej trwodze, trzymając w ręce pistolet. Towarzysz jego z zimną krwią wysunął się z powozu i przy świetle latarni, którą trzymał mu przed nosem podoficer, odpowiedział spokojnym głosem. „Chcesz pan wiedzieć, kim jesteśmy i dokąd jedziemy? Nazywamy się doktór Ritter i dr. Wolf. Jedziemy do Esslingen“. Nazwiska zapisano. „Możeie jechać“. Gdy powóz ruszył, Schiller wyjrzał i zobaczył w oknie odwachu oficera, który żegnał go lekkim ruchem ręki. Dopiero, gdy Sztuttgart zniknął za wzgórzami, przyjaciele odetchnęli z ulgą, chociaż jeszcze musieli mieć się na baczności. Po dwu godzinach ujrzeli łunę różową; to pałac hrabiego jaśniał bajeczną iluminacją na górskim szczycie. „Dalej, dalej od tyranów“ zawołał Schiller, patrząc na siedlisko nieprawości i gwałtu. W tej chwili pod niebiosa strzelił olbrzymi płomienny snop, pękł i sypnął tysiącami iskier, które tak rozświetliły noc, że poeta ujrzał dom swych rodziców. „Matko moja“ wyszeptał i wyciągnął rękę ku swej ukochanej staruszce. Powóz zbliżał się do wzgórza, na którem rysowała się sylwetka twierdzy, w której był zamknięty Schubart.

W oczach Schillera błysnął płomień, ręka musnęła kieszeń, w której schowane były tajemnicze wiersze nadesłane przez Schubarta, tego nieszczęśliwego bojownika o wolność. Schiller wydrukuje je i świat usłyszy ogniste słowa. Młody poeta groźnie

wyciągnął rękę ku zamczysku i usta jego wyrzekły ślubowanie. „Do końca życia będę walczył o wolność. Będę się zmagał o największe skarby ludzkości: wolność i godność ludzką!“

Poeta przez całe życie (zmarł w r. 1805) pozostał wierny tym ideałom. W Manhejmie w ciągu lat trzech był „pisarzem teatralnym“, lecz marna pensja (300 guldenów rocznie) i nieporozumienia z dyrektorem, który żądał coraz nowej sztuki, zmusiły go do porzucenia tej posady. W roku 1787 po napisaniu „Don Karlosa, zostaje przyjęty do koła znakomitych weimarskich lieratów, grupujących się koło Goethego i księcia - mecenasa Karola Auguta. W roku 1789 zostaje profesorem historji powszechnej w Jenie, pisze „Dzieje wojny Niderlandów o wyzwolenie“ i „Historję Wojny Trzydziestoletniej“, w których sławił wolność. W tym roku przejmuje się ogromnie rewolucją francuską. Zapewne pod wpływem uczuć, które wzbudzała w Niemczech presja Napoleona, powstały słynne tragedje. „Dziewica Orleańska (w r. 1801) i „Wilhellm Tell“ (r. 185), które było ostatniem dziełem poety

Sterany nadmierną pracą zmarł w tym roku, mając lat 46. Doczekał się sławy. Wszystkie dzieła swe widział w teatrach, przepełnionych rozentuzjazmowaną publicznością. Niemcy Bismarka, Kruppa, Wilhelma i Hindenburga zdradziły ideały Schillera i Goethego. Nazywali się chętnie narodem poetów i myślicieli. Po r. 1848 coraz szybciej stawali się najlepiej zorganizowaną potworną bandą zbójów i okrutnych niszczycieli naszego narodu. Czem się stali wreszcie i do jakiej zbrodni byli zdolni, ludzkość przekonała się aż nadto dobitnie podczas wojny 1914 -1918 r. Jeśli kiedy nastąpi duchowe odrodzenie Niemiec, to jedynie w postaci powrotu do ideałów Schillera Szczerze życzymy tego narodowi niemieckiemu. Nie ma jednak widoków na szybkie opamiętanie się tych ludzi, których Foerster uważa za opętanych przez djabła. Budżet wojenny niemiecki w r. bież dwakroć przewyższa nasz. Wojna z Polską i zniszczenie doszczętne naszego państwa jest marzeniem wszystkich partyj niemieckich. Miejmy nadzieję, że ta zbrodnia, która byłaby największą w dziejach świata, nie uda sie wyrodnym ziomkom wielkiego Schillera!

Niewieście polonofilstwo z przed stu lat

Życie publiczne nie jest wszystkiem. Fundamentem życia, a nieraz wprost kryterjum zdatności społeczeństwa do życia publicznego, jest jego życie prywatne, tak rozmaite u rozmaitych narodów. Kulturalnym wykładnikiem życia prywatnego są jego zwyczaje i obyczaje, słowem: życie towarzyskie. Narody słowiańskie składały się w pierwszej dobie swego odrodzenia z samych tylko mężczyzn, kobiety nie wchodziły w rachubę, gdyż z powodu zaniedbanego wychowania nie wiedziały nawet dobrze, o co chodzi i zresztą mało je to obchodziło. Polacy dopiero pokazali pobratymcom, że kobieta ma swą rolę i swe zadanie w życiu narodowem.

Pod tym względem każdy z zachodnich Słowian, dostawszy się pomiędzy Polaków, czynił ze zdumieniem istne odkrycie: widział rodzimy, własny polski obyczaj w życiu towarzyskiem, tak zasadnczo różny od niemieckiego. W miarę jak Słowianie poczęli sobie przyswajać polskie poglądy co do kobiet, rosły ich siły, zdwajały się obszary prac narodowych i zmniejszało renegactwo. Powołanie kobiety w narodowe szeregi zapewniło dopiero powodzenie

sprawie, która dotąd była raczej eksperymentem literackim, niż polityczno-społecznym, sprawie odrodzenia Słowian.

Żaden czeski „budziciel" nie budził kobiet, aż dopiero przyszła budzicielka z Polski, Honorata z Wiśniowieckich Zapowa, poślubiona przez czeskiego polyhistoryka, Karola Franciszka Zapa, gdy był urzędnikiem austrjackim w Galicji Wschodniej. Działalność jej wypada w sam raz po roku 1831 i służy doskonale za pomost od czasów, w których wpływy wzajemne polsko-czeskie mogły być tylko książkowe, do czasów wpływów politycznych. Na granicy życia prywatnego a publicznego stanęła Polka, a gdy zechciała nieść swą siejbę na czeską niwę, znalazła grunt w Pradze do przyjmowania polskich wpływów przygotowany pewnem nastrojowem polonofilstwem, wywołanem powstaniem listopadowem.*)

Franciszka Zapowa stała się pierwszą literatką nowoczesną, a wyjechawszy następnie do Pragi, poznawszy potrzeby czeskiego społeczeństwa, rzuciła hasło lepszego wychowania kobiety czeskiej i próbowała w roku 1848 powołać do życia „Spolek Slowanek" (Związek Słowianek) celem zakładania szkół żeńskich. Ona zaniosła nad Wełtawę plon Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Sama wreszcie postanowiła okazać na przykładzie, o jaką szkołę chodzi, i w roku 1855 otworzyła własny zakład wychowawczy dla dziewcząt — niestety było to na kilka miesięcy przed zgonem. Ale pozostała po niej myśl. Pozostała też książka p. t. „Nezabudky, dar nasim pannam" (Niezapominajki, podarunek dla naszych panien) wydana w roku 1859.

Po Zapowej przyszło takich Polek więcej, chociaż nie pisujących. Czesi odkryli świat dla siebie zgoła nowy, salon, w którym nie koniecznie pusta panuje rozmowa, kobietę, która może być duchową współpracownicą męża. Czeszki same poczęły interesować się polskim obyczajem.

Opisać historję tego niewieściego polonofilstwa, jego zakresu i szranek, jakie stopniowo musiał zdobywać, znaczyłoby to pisać cały ustęp z dziejów kultury polskiej i czeskiej z drugiej połowy XIX wieku.

Możemy tu tylko zaznaczyć, że kwestja ta wciąż jeszcze istnieje, a Honoracie z Wiśniowieckich Zapowej — dzielnej krewnej Teofila, powieszonego we Lwowie — należała się tu wzmianka. *A. Hłasko-Pawlicowa.*

Materjały dla przyszłego historyka kultury naszej epoki.

STANY ZJEDNOCZONE.

+ Życie amerykańskie płynie w tak gwałtownem tempie i wśród tak potwornego hałasu, że nawet nerwy Yankesów odmawiają posłuszeństwa. Skut-

*) Nowsze badania wykazały, jak wstrząsająco oddziałał rok 1831 na ówczesną młodzież Czeską.

kiem tego powstał pomysł budowania zacisznych gmachów, całkiem pozbawionych okien. W Fitchburgu, Mass., kosztem 1 milj. dolarów powstaje takie stalowe pudło — dom, który będzie oświetlany wyłącznie setkami potężnych lamp o sile 1000 watt'ów. Oświetlenie ma być bardzo higjeniczne, równomierne, lepsze od światła dziennego. Potężne wentylatory dostarczą świeżego powietrza. Meble i maszyny będą pomalowane na pomarańczowo, ściany i sufity — błękitne, zielone i białe. Niewiadomo, co tu podziwiać: czy potęgę naszej kultury, czy nasze wynaturzenie!

+ Europa również coraz poważniej zastanawia się nad niszczeniem naszego systemu nerwowego przez hałas. Badania wykazały, że hałas osłabia zdolności umysłowe, zmniejsza siłę kombinowania, wywołuje chorobliwość, roztargnienie, powodując często tragiczne wypadki. W Paryżu między g. 22 a 6 szoferom nie wolno posługiwać się sygnałami dźwiękowemi. Na licznych ulicach wogóle zakazany został ruch aut ciężarowych. Policja paryska opracowuje szereg zarządzeń, które mają ograniczać orgje właścicieli gramofonów, głośników radjowych i wszelkich instrumentów muzycznych. Miasto-Wampir, wysycające z nas życie, coraz bardziej przeraża ludzkość, która szuka ratunku i walczy, jak umie, z tym strasznym tworem własnej „kultury".

BUŁGARJA.

Mussolini w r. ub. wytrwale kontynuował swą politykę organizowania związku zwyciężonych w wojnie światowej przeciwko zwycięzcom na czele z Francją. Do interesujących posunięć jego należy z wielką pompą odbyty ślub cara bułgarskiego z królewną włoską Joanną. Uroczystość odbyła się za pozwoleniem papieża w prastarej wspaniałej katedrze w Assyżu, gdzie się urodził przed 700 laty św. Franciszek. Włochy wogóle od r. 1926 usilnie rozszerzają swe wpływy na Bałkanie ze strony Albanji, w której zdobyły najmocniejszą pozycję. Italja stale broniła interesów Bułgarji, popierała jej dążenia do zmniejszenia odszkodowania za wojnę 1914—1918; podsycała nadzieje na rewizję traktatu i odzyskanie ziem utraconych. Bułgarzy, przeżywający ciężkie czasy po pogromie w r. 1918, cieszą się, że znalazł się wreszcie możny opiekun.

DANJA.

Minister obrony krajowej w Danji Rasmussen jest energicznym zwolennikiem rozbrojenia. Tryumf wojowniczej partji Hittlera, która doprowadziła wojenny budżet niemiecki na r. 1931 do zawrotnej wysokości 780 milj. marek (co dwakroć przewyższa polski budżet wojskowy) i szybko przywraca Niemcom potęgę militarną, wpłynął paraliżująco na psychę duńską. „Czyż warto się zbroić!? Co nasz malutki kraik pocznie przeciw kolosowi?" — tak rozumują wybitni mężowie stanu w Danji. Odpowiedni projekt został wniesiony do Sejmu (Folketing) 9. X. Przewiduje on tylko obronę wybrzerzy i patrolowanie. Wydatki na wojsko z 15,000,000 dolarów zmniejszają się do 5,000,000. Premjer

Stauning broni projektu, zapewniając, że uchwalenie jego umożliwi zmniejszenie podatków i ulepszenie opieki społecznej. Konserwatyści zwalczają projekt i wymagają utrzymania siły wojskowej do czasu powszechnego rozbrojenia. Daleko na północy położone wyspy Faroerskie zaczynają dążyć do uzyskania niepodległości. Rząd duński zgodzi się na plebiscyt w tej sprawie, o ile uprawniona ilość mieszkańców tych wysp zażąda tego.

Dwie książki o Polsce

Trudną jest niezmiernie rzeczą zrozumieć i ocenić psychikę ludzi obcej narodowości, dowodem tego jest szereg straszliwych nonsensów, wypisywanych o Polsce i Polakach w literaturze zachodnioeuropejskiej i to niezawsze nawet pod wpływem złej woli, lub wrogiego nastawienia politycznego. Biorąc pod uwagę tę okoliczność, musimy na każdą uczciwą i lojalną charakterystykę naszego kraju patrzeć przychylnie, oceniając dobrą intencję i szczere usiłowanie zrozumienia naszych właściwości narodowych.

Wyjątkowem zjawiskiem, prawdziwą „rara avis" w piśmiennictwie niemieckiem jest pełna uczucia, idealizmu i entuzjazmu książka Niemki o Polsce: „Vom Alten und Neuen Polen" Elgi Kern.

Autorka zna Polskę z autopsji i darzy ją wielką i szczerą sympatją. W latach 1915—17, jako lekarka, dr. Elga Kern poznała nasz kraj. Powróciła tu następnie w chwili pierwszego zbiorowego triumfu odrodzenia państwowego: podczas Powszechnej Wystawy w Poznaniu. Przez parę miesięcy pobytu w Polsce zwiedziła wszystkie ważniejsze miasta i ośrodki, powracała parokrotnie do Polski, by stwierdzić w swej książce, iż „Obraz zbiorowy, ogrom rzeczy dokonanych pozostał w jej umyśle nieprzyćmiony". Autorka nietylko nauczyła się języka polskiego, nietylko przeczytała (jak świadczy wykaz literatury) blisko setkę dzieł o Polsce, lecz z wielką dokładnością i dbałością kontroluje swą wiedzę i swe wrażenia. Sięgając do źródeł Polski współczesnej, autorka maluje sytuację Polski upadającej za Stanisława Augusta. Przypisuje jednak temu królowi tyle zasług na polu kulturalnem, iż w duchu stanisławowskich poczynań upatruje źródło przetrwania kultury narodowej aż po czasy odrodzenia Państwa.

W Polsce dzisiejszej widzi autorka niemiecka najwyższe napięcie woli twórczej narodu do urzeczywistnienia swej potęgi. Opisuje sytuację gospodarczą, sławi dzieło gdyńskiego portu, specjalnie zaś wiele uwagi poświęca szkolnictwu. Podziwia pełną zaparcia się osobistego pracę nauczycielstwa, chwali metody nauki — zresztą na podstawie zwiedzania szkół i przysłuchiwania się lekcjom. System opieki społecznej wydaje się autorce „Polski dawnej i nowej" dobry i postępowy; ubolewa tylko nad „marnowaniem sił ludzkich, w szczególności macierzyńskich, wskutek ogromnej śmiertelności niemowląt w Polsce".

Książka p. Kern obfituje w barwne opisy miast i wsi polskich odmalowanych z niezwykłem odczuciem krajobrazu polskiego.

Wieś polska, w krasie swych strojów, tradycji, kilimów, zdobnictwa ludowego — robi niezwykłe wrażenie na przyjaciółce Polski. Nie może oczu oderwać od tych piękności, w których słusznie widzi przejaw najbardziej istotny genjuszu narodowego.

Drugą książkę o Polsce, która zasługuje na stosunek do niej jaknajprzychylniejszy, jest książka autora francusikego Jerezgo Oudard'a p. t. „La Polonaise". Jest w niej tyle sympatji dla Polski, tyle dobrych chęci wczucia się w psychikę kobiety polskiej, takie nowocześnie rycerskie i obywatelskie ustosunkowanie się do niej, że musimy uważać i cenić p. Oudard'a jako naszego najlepszego przyjaciela.

Autor zaczyna od paraleli: zestawienia Polski i Rosjanki, rozprawiając się w rzeczowy a dowcipny sposób z „cielęcym zachwytem dla Rosji", który zainspirowała Francji na długie lata przedwojenna polityka rządu". Przykłady, ilustrujące różnice obyczajów w dawnych wiekach, są trafne i soczyste. Rosjance z XVII i XVIII w., która „malowała się jak dzikuska, była niewolnicą w domu, nie umiała czytać ani pisać i niczego nie mogła nauczyć swych dzieci", przeciwstawia autor Polkę, która w tych samych wiekach „czarowała swym rozumem cudzoziemców, interesowała się polityką, literaturą, sztuką i wiedzą, a w nieobecności męża zarządzała majątkiem".

Polka okresu walk o niepodległość przedstawiona jest z wielkim pietyzmem i z bardzo trafnym doborem przykładów. Piękną jest charakterystyka konspiracyjnej działaczki na Śląsku.

W charakterystyce obecnej, powojennej Polki autor czuje się mniej pewnie. Ale charakterystyka kobiety nowoczesnej jest wogóle. niełatwa, a cóż dopiero kobiety obcej narodowości.

Pewne niedociągnięcia, które spostrzec się dają, nie pomniejszają zasługi i wartości pracy autora. Pozatem świetny, błyskotliwy, specyficznie francuski styl p. Oudard sprawia, że książkę jego czyta się z prawdziwą przyjemnością.

Książka p. Oudard'a podobnie jak i studjum Elgi Kern są piękną i rozumną opinją cudzoziemców o Polsce.

Pobudzają one do samokrytycyzmu, do głębszego uświadomienia sobie cech charakteru naszego narodu, do zastanowienia się nad problematem, jak patrzą na nas inni. *A. Hłasko Pawlicowa.*
